

TO JAKBY ODSUWAĆ TIUL zakrywający przeszłość, nadpaloną zasłonę trzepoczącą w otwartym oknie tamtego domu wiosną roku osiemdziesiątego szóstego. Roku naznaczonego ogniem z opon dymiących na ulicach Santiago zablokowanych przez patrole policyjne. Santiago budzące się przy hałasie rondli, w które uderzali protestujący, i przy błyskach odcinanego prądu; pod dyndającymi w powietrzu kablami, iskrzącymi elektrycznością. A potem całkowita ciemność, światła wozu opancerzonego, te, stój, gnoju, wystrzały i paniczne ucieczki, jak stukot metalicznych kastanietów przecinający filcowy mrok. Te ponure noce przeszywane okrzykami, nieśmiertelnym „On musi odejść” i tymi wszystkimi komunikatami z ostatniej chwili, szeptanymi radiowym echem w „Wiadomościach” Radia Cooperativa.

Ów mizerny domek stał na rogu. Trzypiętrowy, ze schodkami pnącymi się jak kręgosłup na stryszek. Można było stamtąd patrzeć na spowite mrokiem miasto, zwieńczone mglistą czapą prochu. To był raptem gołębnik, balustrada ledwie, na której Ciotuchna z Naprzeciówka mogła rozwieszać pościel, obrusy i majtki, wymachując przy tym figlarnie rękami. W te poranki przy otwartych oknach wyśpiewywała na głos „Drzę o ciebie

matadorze², drzę ze strachu, że wieczorem uśmiech twój odleci gdzieś”. Cała dzielnica wiedziała, że nowy sąsiad jest właśnie taki, jak panienska nazbyt zauroczona tą rozpadającą się rudera. Przegięty motylek o zsuniętych brwiach, który przyleciał tu z pytaniem, czy można wynająć tę ruinę nadszarpniętą ostatnim trzęsieniem ziemi, ten wrak trzymający pion wyłącznie dzięki urbanistycznemu entuzjazmowi z lepszych czasów. Tyle lat zamknięty, pełen myszy, błędnych dusz i nietoperzy, które Ciotuchna bezpardonowo wyeksmitowała; w jednym ręku miotełka z piór, w drugim solidna szczotka, rozpędziła pajęczyny z istic ciotowską werwą, intonując falsecikiem kawałki Lucho Gatiki i wykaszlując *Bésame mucho* prosto w zalegające w rynnie zwały kurzu i śmieci.

Narzeczonego mu tylko brakuje, szeptały między sobą matrony z chodnika z naprzeciwnika, śledząc jego kolibrze podskakiwania w oknie. Ale sympatyczny jest, dodawały, wsłuchane w jego liryczne i niedzisiejsze uniesienia, kiwając głowami w rytm przebrzmiałych szlagierów, od których cała okolica zrywała się na nogi. Tych pretensjonalnych melodyjek, wyciągających z łóżek zaspanych mężów, leniwe dzieci chowające głowy pod kołdry, rozwydrzonych uczniów, którym nie chciało się wstawać na zajęcia. Głośne „Alleluja” wyśpiewywane przez Cecilie, wokalistkę Nowej Fali, działało jak sygnał do pobudki, kogucie pianie

2 Zapis bez przecinka przed wołaczem i w kolejnych wersach o tej treści stanowił celowy zabieg autora w oryginale i tak pozostawiamy w polskim tłumaczeniu.

o świcie, muzyczny alarm emitowany przez Ciotkę na cały regulator. Jakby chciała podzielić się ze wszystkimi tym przesłodzonym tekstem odbierającym sąsiadom resztki snu: „I... i dłooon two-o-oja chwyci mo-o-oją”.

I tak Ciotuchna z Naprzeciówka w bardzo krótkim czasie stała się integralną częścią społecznego zwierzyńca tej cienko przędącej warstwy bezrobotnych mieszkańców stolicy, którym ciągle wiatr wiał w oczy, bo nie bardzo mieli co do garnka włożyć i musieli brać w sklepiku ćwiartkę cukru na kreskę. W sklepiku dzielnicowym, epicentrum plotek i komentarzy na temat politycznej sytuacji w kraju. Ofiary ostatnich protestów, deklaracje opozycji, pogrożki Dyktatora, przygotowania do wrześnieowego strajku generalnego. Że teraz to już na pewno, że osiemdziesiątego szóstego nie przetrzyma, bo osiemdziesiąty szósty to będzie ten rok. Że wszyscy marsz do parku, na cmentarz, zabrać sól i cytryny, żeby wytrzymać gaz łzawiący, i te wszystkie komunikaty, bez końca mielone przez radio.

TU RADIO COOPERATIVA, MÓWI MANOLA ROBLES

Ta cała polityka jakoś jej nie leżała. Raczej bała się słuchać tego radia, bo podawali same złe wiadomości. Wszystkie odbiorniki były nastawione na tę stację, z tymi jej protest songami i ciągłym podbijaniem bębenka najświeższymi doniesieniami, od czego wszyscy mieli nerwy napięte jak postronki. Ona wołała nastawiać odbiornik na audycje nostalgiczne: „W rytm serca”, „Dla tych, co kiedyś byli

młodzi”, „Podmiejskie noce”. I tak spędzała całe popołudnia i wieczory, haftując wielkie obrusy i prześcieradła dla jakiejś zgrzybiałej arystokratki solidnie opłacającej trud jej pajęczozwinnych paluszków.

Tamten dom wiosną osiemdziesiątego szóstego to był jej ciepły kąt. Być może było to jedyne, co kochała, jedyna własna przestrzeń, jaką w całym życiu miała Ciotuchna z Naprzeciwka. Stąd ten zapał, by dekorować ściany, jakby to był tort weselny. Pstrzyła gzymsy ptaszkami, wachlarzami, wiankami z niezapominajek, a manilskie mantylki okrywały niewidzialne pianino. Te frędzle, koronki i tiulowe falbany oplatały pudła, które pełniły funkcję mebli. Te strasznie ciężkie pudła, które przechowywał u niej ten młodzian. Poznała go w sklepie, śliczny chłopak – i poprosił o przysługę. Powiedział, że to tylko książki, po prostu zakazana literatura, tak powiedział tymi swoimi ustami jak wilgotna lilia. Ten męski ton, któremu oprzeć się nie sposób, i echa jego ust wciąż pobrzmiwały w jej oszołomionym ptasim łebku. Po cóż pytać o więcej, przecież powiedział, że nazywa się Carlos jakiś tam, coś tam studiuje, na jakimś uniwersytecie, i pokazał jej dowód osobisty, ale tak szybko, że nawet nie spojrzała, zniewolona fioletowymi błyskami w tych jego oczach.

Pierwsze trzy pudła zostawił na korytarzu. Ona jednak się upierała, że tu będą przeszkadzać, więc niech je przeniesie do sypialni, to się przydadzą jako stolik nocny, będzie na czym radyjko postawić. O ile to nie problem, no bo

radio to mój jedyny towarzysz, dodała nieśmiało z miną zbłąkanej owieczki, przyglądając się iskierkom potu wykwitającym na jego czole. Pozostałe skrzynie rozdysponowała w pustej przestrzeni wyobraźni, jakby urządziła filmową scenografię, mówiąc: Tutaj, Carlos, pod oknem. Nie, Carlos, nie tak blisko jedna drugiej, teraz wyglądają jak trumny. Bardziej do środka, Carlos, jakby to były stoliki. Na tym boku nie, Carlos, lepiej na drugim, albo w ogóle inaczej, Carlos, żeby rozdzielić przestrzeń. Wyżej, Carlos, bardziej w prawo, sorki, chciałam powiedzieć: w lewo. Zmęczyłeś się? Odsapnijmy trochę. Zaparzyć ci kawki? I jak brzęcząca pszczoła śmigająca po domu, furkocząc jak pierzastym boa tymi ciągłymi: tak, Carlos, nie, Carlos, być może, Carlos, czemu nie, Carlos. Tak jakby powtarzając jego imię, wyszywała w powietrzu kolejne litery i teraz one kołysały ją swoim echem i bliskością. Jakby jej kapłoński język uparł się, by powtarzać to słowo, wzywać je, oblizywać, smakując te sylaby, żując, wypełniając ją całą tym tak głębokim Carlosem, tak szerokim imieniem, że stawała się westchnieniem, rozpiętym między głoskami Ka i A z tego C-arlosa, którego obecność wypełniała światłem cały dom.

Przez cały ten czas zjawiały się coraz to nowe pudła, coraz cięższe, dźwigane przez Carlosa obdarzonego iście męską muskulaturą. Toteż Ciotuchna wymyślała coraz to nowe sposoby ozdobienia tego wszystkiego pokrowcami i poduszkami, żeby jakoś zamaskować ospódniczone sekrety tych sarkofagów. Potem zaczęły się spotkania o północy, o świcie, kiedy cała dzielnica pogrążała się w symfonii

chrapnięć i pierdnięć, układających się w spontaniczną nocną „Marsyliankę”. W ulewnym deszczu, ociekający wodą, zjawiali się koledzy Carlosa i gromadzili się na stryszku. Jeden zawsze zostawał na rogu, jak gdyby nigdy nic. Carlos zapytał ją o zgodę, przymykając kurtynę rzęs nad tymi swoimi rysimi oczyskami. To koledzy z uczelni, nie mają gdzie się uczyć, a ty masz taki wielki dom i serce. I jak tu odmówić, kiedy kobieta cała się poci przy takim bruneciku, gorąco jej się robi na sam jego widok. Poza tym te chłopaczki, których miała okazję zobaczyć, to generalnie mili z oglądu i dobrze wychowani młodzieńcy. Mogą tu bywać po koleżeńsku, myślała sobie, podając im kawę, oblizując błyszczące wargi koniuszkiem języka, nucąc pod nosem miłosne ballady sączące się z radia: „Przez ciebie przywykłam, więc pytać się ważę”, i inne frywolne zdania, które dekoncentrowały skupionych chłopaków. I wtedy oni ucinali jej w pół taktu, przekręcając potencjometr na te koszarne wiadomości.

TU RADIO COOPERATIVA: GWAŁTOWNE STARCIA NA
BARYKADACH NA ALEI BERNARDA O'HIGGINSA

Kiedy w sierpniu zaczęły zawiewać chłodniejsze wiatry, w domu zrobiło się przyjemniej. Przypominało to scenografię z operetkowej *Kwietnej pergoli*, zaimprovizowanej z resztek, ale za to z hollywoodzkim rozmachem. Orientalny pałac z wiszącymi u powały płachtami jedwabiu i starymi manekinami ucharakteryzowanymi na apokaliptyczne anioły albo czujnych centurionów wedle wizji

tulipanowej wariatki. Pudła i skrzynie przepoczwarzyły się w komfortowe trony, fotele i kanapy, na których wygodnie mogły sobie rozprostować kości nieliczne gejówki-przyjaciółki składające tu wizytę. Skromna gromadka ciotek zachodziła tu czasem na herbatkę, zawsze jednak uciekając, nim zjawią się „panowie gospodyni”; żartobliwie dopominały się okazji, by poznać ów arsenał godnych podziwu mięśni. Gospodyni jednak, głupią nie będąc, zbierała filiżanki, strzepywała okruszki i odprowadzała gości do drzwi, powtarzając, że jej chłopcy nie życzą sobie nowych, tak poślednich znajomości.

Tymczasem spotkania i parady tych młodych mężczyzn w wypieszczonym domku Ciotuchny powtarzały się coraz częściej, coraz intensywniej; wchodzili i schodzili wciąż tymi mizernymi schodkami, które w każdej chwili groziły zawaleniem od ciągłych samczych przemarszów. Czasem nawet Carlos nie mógł dostać się na stryszek i odwracał jej ptasią uwagę, żeby nie widziała osłoniętych twarzy przybyszów. Nawet jemu nie wolno było uczestniczyć w niektórych zebraniach, i zastawiał jej drogę, gdy ona, powodowana uprzejmą ciekawością, chciała zaproponować kawę. Przecież oni tam strasznie muszą marznąć na górze, powtarzała, wpatrując się w nieprzejednaną twarz Carlosa. Poza tym, dlaczego nie wolno mi tam wejść, skoro jestem u siebie w domu? Wtedy Carlos przestawał trwać tam tak groźnie i łapiąc ją pod ramię, zatapiał w jej gołębiej niewinności swoje sokole spojrzenie. To męskie sprawy, wiesz przecież, że nie lubią, żeby

im przeszkadzać, kiedy się uczą. Czekają ich ważny egzamin, ale kończą już. No weź, usiądź, pogadamy.

Taki dobry był ten Carlos, taki słodki, taki uprzejmy. A ona taka zakochana, tak wpatrzona, tak nieprzytomna przez całe noce, które z nim przegadywała, podczas gdy na górze trwały zebrania. Długie godziny ciszy spędzone na wpatrywaniu się w swoje umęczone nogi, zapomniane na fioletowych poszewkach poduszek. Aksamitna cisza muskała jego sinawy i nieogolony policzek. Gęsta cisza pokonywała go, gdy ze zmęczenia opadała mu głowa. Cisza wytlumiona piórami, ciężka jak ołów głowa osuwała się, a ona, zawsze uważna, zawsze miękka jak wata, jedna wielka delikatność, podsuwała mu miękki jasiek, żeby miał wygodniej. I wtedy ta bliskość, to muśnięcie, to smagnięcie niczym piórkiem, ciotowską rękawiczką, kiedy zbliży rękę do jego twarzy, by go dotknąć. I potem on się zerwie, jakby porażony tym elektrycznym dotykiem, prostując się i udając, że za czymś ważnym się rozgląda, pyta: Co jest? Co się dzieje? Nic, zasnęłaś, chcesz kocyk? Dobra. Nie skończyli jeszcze? Nie pozwól mi zasnąć, opowiadaj mi o twoim życiu, o twoich sprawach. Masz jeszcze kawę?

I tak siedzieli, rozdzieleni barierą dymu, bo napalone tam było strasznie, palenie pozwalało im czuć, a ona tknęła to oczekiwanie, nizała nitki pamięci, drobne ulotne wspomnienia, snute tym jej ciotowskim głosikiem. Pamiątki po prostytutkach szlajaniach bezimiennymi uliczkami, brudnymi zaułkami, w które wprowadzała ten swój „tropikalny czar”. Pedalska ballada o kaprysach

nocy, przypadkowych zbliżeniach w tańcu z jakimś wstawnym partnerem, w zamian za parę monet, które pozwolą przeżyć kilka kolejnych godzin, bo dobrze jest w chłód i ziąb przylepić się do czyjegoś ciepłka. Zewrzeć się z kimś przelotnie, bo zawsze to jakaś ulga, jak człowiek seksem zetrze z siebie ńędzę życia. A potem sztywne slipy, zapomniana skarpetka, pusta butelka bez listu w środku, bez celu, bez wyspy, bez skarbu i mapy, która pozwoliłaby zorientować jakoś jej jaskółcze serce. To serce trzepoczące jak pisklę kolibra, wcześniej osieroczone przez matkę. To nerwowe serce wiewiórki, spłoszonej ojcowskim krzykiem, smagnięciem w pośladki, noszące piętno wychowawczego pasa. On powtarzał, że robi ze mnie mężczyznę, dlatego mnie tak lał. Bo nie zamierzał świecić oczami ani bić się z kolegami ze związku, którzy mu mówią, że syn mu wyszedł jakiś nie tego. Jemu, takiemu twardzielowi, takiemu psu na baby, tak zawziętemu na dziwki, tak pijanemu, tamtego razu, kiedy pchał się z łapami. Tak gorące było to jego słoniowe cielsko przygniatające mnie, celujące we mnie, dławiące mnie w mroku sypialni, w tych rozpaczliwych próbach miotania się jak sprawiany kurczak, jak oskubany gołąbek, bez ciała i bez odwagi, żeby znosić siłę uderzeń jego sztywnego pręta. A potem ta sama mdłość niepamięci, ta sama zapomniana skarpetka, to samo prześcieradło zroszone czerwonymi płatkami, ten sam palący ból, ta sama pusta butelka z wezwaniem SOS unoszącym się w różowawej wodzie umywalki.

Ja jestem pedalski odpad, który matka zostawiła mi za karę, powtarzał. Dlatego mi nie odpuszczał, kazał bić się z innymi chłopakami. Ale ja nigdy nie umiałam się obronić, nawet przed młodszymi ode mnie, ci też mi nie odpuszczali, biegali potem triumfująco z sosem z mojego nosa rozmazanym na ich piąstkach. Kilka razy wzywali go do szkoły, żeby mnie zabrał do psychologa, ale on odmawiał. Nauczycielka twierdziła, że lekarz może mi pogrubić głos, że tylko medycyna jest w stanie poprawić ten mój chód, jakbym stąpał po jajkach, te moje tiu-tiu krocзки, z których dzieci ciągle się śmiały i przez które nie dało się uspokoić klasy. On jednak odpowiadał, że to pieprzenie od rzeczy, że tylko służba w wojsku mi pomoże. Dlatego, kiedy skończyłam osiemnaście lat, poszedł mnie zapisać i gadał ze znajomym sierżantem, żeby mnie przyjęli do wojska. Z Carlosa uszedł cały sen, popijał kawę ze spuszczoną głową. I odbyłeś służbę wojskową?, pytał, patrząc na swoje skowrończe dłonie spoczywające na jego kolanach. Odbiło ci? Ni w cholere. Ale wyniosłam się z domu i nigdy więcej go nie widziałam. Łomot kroków na górze oznajmił koniec zebrania. Jutro opowiesz mi resztę, rzuć Carlos jakby na ucho; wstał, wysoki taki i szeroki, że, bawiąc się frędzlami zastłonki, musiała patrzeć ku górze.

*O przeszłość mnie pytasz, wszystko wiedzieć chcesz.
Lecz by kochać przecież, wiarę trzeba mieć.
Dać za miłość życie, ale nadal żyć,
tym jest właśnie czułość, nie tym, co masz ty-y.*